

przynajmniej równe szanse w dyskusjach z drukarzami, jako wolny słuchacz mogłam uczęszczać na niektóre seminaria prof. Pajewskiego, sama (też z inspiracji Władka) zajęłam się działalnością przedwojennego Instytutu Zachodniosłowińskiego w Poznaniu, którą potem opisałam w „Przeglądzie”, od czasu do czasu sporządzałam jakieś notki, recenzje itp.

Bardzo pouczającym zajęciem było uczestniczenie w posiedzeniach Kolegium Redakcyjnego, któremu przewodniczył wówczas prof. Gerard Labuda, niegdyś także dyrektor Instytutu. Byłam protokolantem, a uczestnikami – ważne postaci ze świata polskiej humanistyki, dla których owe spotkania w Poznaniu były okazją do wystąpień nie zawsze uwzględniających ówczesne realia, pozostających często w sferze pobożnych życzeń, niekiedy chaotyczne i mające luźny związek z profilem „Przeglądu”. Wywoływały zatroskanie red. Walczaka, a później Władka, moje rozpaczliwe poszukiwanie porządkującego wspólnego mianownika i cierpliwe milczenie Przewodniczącego. Kiedy głos ostatniego mówcy zamierał, Profesor nagle się ożywiał i dokonywał cudownej rekapitulacji. Wszystko stawało się oczywiste i znajdowało swoje miejsce. Ziarna uwzględniano i przygotowywano im glebę, niezauważone plewy obumierały. Pozostawało mi tylko możliwie skrupulatnie zmierzać wytyczonym tropem. Posiedzenie było skończone.

Pamiętając o wymogach samodyscypliny, także zmierzam ku zakończeniu. Korzystając wszakże z jubileuszowych okoliczności, chciałabym i ja złożyć „Przeglądowi” życzenia. Niech nadal hołubi czytelników reprezentujących różne opcje i zainteresowania, skłaniając do refleksji i dialogu. Niech odsłania to, co nie zawsze na pierwszy rzut oka widoczne. Niech zaspokaja ciekawość tych „już wtajemniczonych”. Po prostu – niech On i Jego Redakcja mają się dobrze!

MAŁGORZATA WALLER

MÓJ DRUGI DOM

Instytut Zachodni stał się moim drugim domem na 35 lat (1957-1992). Kto przychodził do Instytutu, a sprawdził się zawodowo, koleżeńsko i chciał pozostać, mógł być pewien, że doczeka tu emerytury. Zastawał ludzi znających się od kilku, kilkunastu lat, tworzących atmosferę życzliwości i serdeczności. Nie było żadnej wrogości ani zagrożenia, dlatego wchodziło się do budynku przy ul. Chełmońskiego jak do bardzo gościnnego domu. Nikt nie czuł się obco, był przedstawiany w każdym zakładzie przez dyrektora administracyjnego dra Michała Pollaka. Potem, niestety, wszystko się zmieniło, gdy stara kadra instytutowa z różnych powodów, także politycznych, powoli topniała. W Dziale Wydawniczym duch ten pozostał do końca kierowania nim przez redaktora naczelnego Władysława Tomaszewskiego, do 1986 r.

Zacząłam pracę, gdy Instytut miał swoją pierwszą siedzibę na II i III piętrze dużej kamienicy przy ul. Chełmońskiego 1 na poznańskim Łazarzu. Pracownicy byli rozmieszczeni w mniejszych lub większych pokojach razem ze zbiorami bibliotecznymi, na które nie wygosposodarowano już osobnego pomieszczenia. Trafiłam pod skrzydła pana Mariana Pachuckiego, wytrawnego redaktora z Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha. Budził we

mnie respekt swoją wiedzą i praktyką, a że nie był zbyt rozmowny, więc skupialiśmy się na zaczytywaniu maszynopisów ze złożonym na szpaltach tekstem. W przerwie pracy było karmienie ptaków za oknem, bo pan Marian, zwany zdrobniale Pachcio, miał dwie słabości: książki i ptaki. Nie można było wówczas kupić gotowego pokarmu, więc Pachcio tłukł suche bułki słoikiem po dżemie. Kiedyś ten wysiłek został doceniony i na okno przyleciały kolorowe gile.

W 1959 r. Instytut przeniósł się na Stary Rynek do odbudowanej Wagi Miejskiej. W obecnej sali ślubów postawiono przepierzenia dla pomieszczeń pracowników naukowych, parter zajmowała dyrekcja, sekretariat i księgowość, a Dział Wydawniczy powędrował do małych pokoików na poddaszu, aby po niedługim czasie zająć na parterze przybudówkę od strony ratusza, nazywaną przez nas stajenką – obecnie jest to restauracja Przy Bamberce.

Z tamtego okresu upamiętnił mi się z Działu Wydawniczego pan Mieczysław Au, nienaganny w zachowaniu i stroju, zawsze w muszce, w którą była wpięta ozdobna szpilka. Pan Au chodził do kinematografu, nie do kina. Idąc z miasta do pracy na Stary Rynek, oglądał po drodze wystawy sklepowe, po czym już na miejscu oświadczał swojej koleżance Magdalenie Staszewskiej: „Pani Madziu, upatrzyłem dla pani kreację”! Pan Au wkraczał wówczas w 80. rok życia. Najbliższe otoczenie o tym nie wiedziało, ale z życzeniami przyszedł starszy wiekiem pan Roman Ziółcki, wówczas kasjer Instytutu. Pofatygował się z parteru aż na nasze poddasze z gratulacjami, które sprawiły jubilatowi przykrość. Mówiono, że pan Au się obraził.

Pracowałam wówczas przy wspólnym biurku z Moniką Dziarnowską, która przyszła do Instytutu w 1959 r. Była to osoba niezwykle urody, delikatności i wrażliwości, nieufająca własnym możliwościom. Wykształcenie historyczne i znajomość języków obcych dawały jej możliwość awansu na redaktora, nie przyjęła jednak takiej propozycji. Dużo później wspominała, że się mnie bała, co mnie wielce strapiło, bo wydawało mi się, iż nie było ku temu powodów ani charakterologicznych, ani zawodowych.

W 1960 r. Dział Wydawniczy przeniósł się do domków budniczych od strony ratusza. Zajęliśmy I piętro: dwa pokoje od południa wydawnictwo książek, dwa od północy „Przegląd Zachodni”, a obok niego w trzecim redaktor naczelny. Taki układ pozostał aż do następnej przeprowadzki Instytutu Zachodniego w 1998 r. na ul. Mostową 27. Zimą było tam wyjątkowo chłodno, kaloryfery zawsze ledwo letnie. Tłumaczono, że u nas kończą się rury centralnego ogrzewania i nie można podwyższyć temperatury. Zastrzeżono też surowo, aby nie zmieniać wnętrza pokoi i korytarza, nie wbijać żadnych gwoździ, bo naruszymy zabytkowe mury. Gdy po 20 latach znalazłam się ponownie w tych samych pomieszczeniach, zdumienie graniczyło z szokiem – stanęłam w dużej, nowoczesnej restauracji i tylko powtarzałam głośno: a nam nie wolno było wbić nawet jednego gwoździa...

Dział Wydawniczy zajmujący się wydawnictwami zwartymi dzierżyła silną ręką jako zastępca redaktora naczelnego Maria Morkowska zwana Myszka lub zdrobniale Myszeńka, ale nie przez nas podwładnych. Od koleżeństwa z „Przeglądu Zachodniego” przeciekło określenie „krwawa Mary” i to bardziej pasowało do niektórych sytuacji. Poprawiony przez nas tekst wędrował na biurko Myszki do sąsiedniego pokoju. Gdy słyszałyśmy przez otwarte drzwi brzęczenie bransoletek na jej ręku, stwierdzałyśmy: „Oho, wymazuje nasze poprawki”! Tak, drzwi musiały być zawsze otwarte, z wyjątkiem przyjmowania gości-interesantów. A Myszka paliła papierosy, których dym rozchodził się także po naszym pokoju. Próbowaliśmy raz dyskretnie przymknąć drzwi „palarni” – niestety, skończyło się reprimendą.

Piszę w rodzaju żeńskim, bo przez lata zespół był wyłącznie damski. Panów nie satysfakcjonowała żmudna praca redakcyjna, a jeśli się zjawiali, to na krótko. Sympatyczny pan Krzysztof nie ukrywał wręcz swoich planów, chciał zostać redaktorem sportowym, i to mu się udało.

Po odejściu Myszkii na emeryturę dostałyśmy się pod skrzydła redaktora naczelnego Działu Wydawniczego Władysława Tomaszewskiego. Władek (lub Władeczek) był niezapomnianym szefem. Nie przypominam sobie, by na kogoś podnosił głos lub okazał zdenerwowanie, gdy miał zwrócić uwagę, to – jak sam mówił – był chory. Łagodził spory i zadrażnienia, wnosił w otoczenie spokój. Do późna w nocy w domu poprawiał i przerabiał artykuły do „Przeglądu Zachodniego”. Niedośpany, niskociśnieniowiec, rano długo dochodził do siebie, dlatego prosił – nie przychodźcie do mnie przed dziesiątą. Dla całego działu był tarczą ochronną przed „zagroženiami” płynącymi z Pałacu Działyńskich, gdzie urzędowała dyrekcja. Nie chwalił się przed czym nas obronił i ile zniósł „ciosów”; czasem coś się przedostało od najbliższych sąsiadów z redakcji „Przeglądu Zachodniego”. Kiedyś powiedział: „Dziewczyny (tak się do nas zwracał), jak musicie wychodzić do miasta w swoich sprawach, róbcie to pojedynczo”.

Nasz szef określał Wydawnictwo Instytutu Zachodniego manufakturą. Wszystko wykonywali sami – od opracowania maszynopisu po gotową książkę. Do zakresu czynności należało:

1. opracowanie redakcyjne i techniczne maszynopisu autorskiego,
2. wykonanie korekt – pierwszej, drugiej oraz rewizji (trzeba było tak czytać, aby w złożonym tekście nie pozostawić literówek lub innych „chochlików” drukarskich),
3. obliczanie objętości książki i honorariów autorskich,
4. sporządzanie umów autorskich oraz umów-zleceń dla recenzenta, grafika, tłumacza (streszczenia obcojęzyczne),
5. prowadzenie kartoteki materiałowej: zamówienia papieru w fabrykach, sprawozdania z jego zużycia,
6. kontakty z autorami i drukarniami (Drukarnia Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Zakłady Graficzne im. Marcina Kasprzaka),
7. w razie potrzeby sporządzenie indeksu osób do książki.

Dobre opracowanie maszynopisu wymagało czujności według zasady: nie wierzyć autorowi, wszystko sprawdzać, ale po uzgodnieniu istotnych poprawek, w sprawach merytorycznych ma on zawsze ostatnie słowo. Benedyktyńska praca zaczynała się od ujednolicania skrótów, nazw pisanych dużymi literami, sprawdzania poprawności cytowanych przypisów i ich zgodności z podaną bibliografią. Wobec ówczesnie ograniczonych możliwości technicznych wymagało to szperania w katalogach bibliotecznych i encyklopediach, gdyż na PRL-owskich nie można było polegać. Nie wszystko udawało się „wyłapać”. W 1981 r. wydaliśmy książkę *Polacy w historii i kulturze krajów Europy Zachodniej. Słownik biograficzny*. Autor hasła o gen. Stanisławie Maczku podał daty biograficzne 1892-1975. Niedługo po ukazaniu się tej pozycji ktoś z naszych znajomych usłyszał gen. Maczka przemawiającego w radio BBC i przyszedł z tą wiadomością do redakcji. Generał został odesłany do wieczności o 19 lat za wcześniej.

Najlepszym kandydatem na redaktora był polonista, germanista, historyk – tacy na ogół najlepiej się adaptowali. Do pracy wydawniczej wdrażany był przez kogoś z działu z kilkuletnim doświadczeniem. W 1971 r. zostałam wysłana na kurs edytorski do Warszawy,

organizowany przez Biuro Wydawnictw i Bibliotek Polskiej Akademii Nauk. Taka okazja jednak już się nie powtórzyła.

Redaktor otrzymywał od szefa wydawnictwa maszynopis książki, która znajdowała się w planie wydawniczym – nie było przebiegania w tematyce. Następnie praca przebiegała według wspomnianego zakresu czynności, a redaktor pilnował swojej książki we wszystkich stadiach powstawania. Jedyne korekta była szczytywana „innymi oczami”, potem polegał tylko na swoich, przecież to było „jego dziecko”, za które odpowiadał. Z jaką satysfakcją oglądał gotową książkę pachnącą drukiem: czy ładnie wypadła grafika, czy przypadkiem na stronach tytułowych nie ma literówek, czy zachowano kolejność arkuszy drukarskich. Takie były zawodowe emocje, jeśli pozytywne – oddychał z ulgą, jeśli negatywne – przeglądał ostatnie stadia pracy i biadolił, jak mógł taką rzecz przeczytać! A mógł, bo praca przy książce uczy pokory, tak mówił kolega Marian Pachucki na pożegnaniu w Dziale Wydawniczym w 1959 r.

Instytut Zachodni od lat 60. zajmował Pałac Działyńskich i domki budnicze, odległe od siebie o kilkadziesiąt metrów. Łącznikiem i dobrym duchem Instytutu była pani Halina Całkowa towarzysząca jego narodzinom w 1944 r. pod Warszawą, najpierw przez męża Leona, którego Niemcy rozstrzelali na początku Powstania Warszawskiego, potem w 1945 r. zaangażowana przez prof. Zygmunta Wojciechowskiego do pracy w organizującej się w Poznaniu placówce. Mieszkała w domkach budniczych na II piętrze nad Działem Wydawniczym, na parterze znajdował się Dział Administracyjno-Gospodarczy, gdzie pracowali Henryk Małecki i Stanisław Roth. Kontynuowała w Instytucie atmosferę rodzinną, która wytworzyła się w pierwszych latach jego rozwoju na ul. Chełmońskiego. Pani Halina – tak wszyscy się zwracali i było wiadomo, że to pani Całkowa – długoletnia harcerka (w stopniu harcistrza) patrzyła na ludzi bardzo życzliwie i serdecznie, aby w razie potrzeby spieszyć z pomocą. Cieszyła się zaufaniem ludzi. Ile to razy przychodzili jak do matki wyzalić się i poradzić znacznie młodsi koledzy: Władek Tomaszewski, Józio Muszyński, Zbyszek Mazur, Janusz Sobczak. Pracowała w Instytucie długo (1945-1992) na różnych stanowiskach, od sekretariatu, kasy, aż po archiwum, które porządkowała. Pełna inicjatywy, energiczna, znakomita organizatorka. Sława stołówki dla pracowników Instytutu, którą prowadziła jeszcze w Wadze Miejskiej, wyszła daleko poza Stary Rynek, a chętni znajomi ścigali z miasta.

Pasję harcerską najbardziej ujawniała w corocznych wycieczkach instytutowych po Polsce i nieco dalej: do NRD, Czechosłowacji i na Węgry. Przygotowywała je dużo wcześniej z dobranym sztabem: Władkiem Tomaszewskim, Benicjuszem Głębockim z Pracowni Geograficznej i innymi, aby uczestnicy byli informowani o walorach historycznych, geograficznych i turystycznych mijanych terenów. Takie wyjazdy integrowały ludzi, sprzyjały bliższemu poznaniu i zachęcały do następnej wyprawy – zawsze we wrześniu. Po powrocie do Poznania i niedługim odsapnięciu, pani Halina gromadziła mapy, informatory i wytyczała przyszłoroczną trasę. Wycieczki były ledwie jedną z wielu inicjatyw Pani Haliny realizowanych z wielkim zaangażowaniem. Trudno nie wspomnieć o gwiazdkach organizowanych dla wszystkich dzieci instytutowych i o obozie letnim w Czechosłowacji dla nieco starszych.

Była jeszcze jedna okazja do spotkań pracowników Instytutu Zachodniego – Dzień Kobiet, bardzo promowany w PRL-u. Początkowo panowie (nie wszyscy) indywidualnie

składali paniom życzenia, czasem poparte kwiatkiem, czasem częstując cukierkami. Wspólne obchodzenie Dnia Kobiet zainicjowała Wanda Pierchlewicz z biblioteki, działająca w zarządzie naszego związku zawodowego ZNP (Związek Nauczycielstwa Polskiego). Odtąd spotykaliśmy się 8 marca na ciastkach i herbacie (kawa była trudna do zdobycia – bo wtedy „zdobywano” towary „rzucane” do sklepów). Pani Halina, też z zarządu związkowego, zaznaczała wchodzącym do sali 22 w Pałacu Działyńskich – jedno ciastko na jedną osobę! Finanse Instytutu nie były wtedy w nadmiarze, kiedyś zabrakło nawet na wypłaty pensji. Członkowie zarządu nie lada się głowili, aby wymyślić dla pań drobne prezenty – broszki, rajstopy. Do dzisiaj obdarowane pamiętają droższe nieco upominki, jak parasole – wszystkie jednakowe, w kolorowe kwiaty – czy fajansowe komplety śniadaniowe sprowadzone przez przewodniczącego związku pana Zbigniewa Kulaka z Chodzieskiej Fabryki Porcelany. Pani Pierchlewicz – popularnie Dula – rozmiłowana w literaturze szukała w wierszach polskich poetów (zwłaszcza Gałczyńskiego) fragmentów pasujących do poszczególnej pani, wypisywała na ozdobnych bilecikach i wręczała z serdecznym, właściwym sobie uśmiechem.

Nakreśliłam powyżej obraz wspólnych spotkań w Instytucie Zachodnim, ale było ich znacznie więcej, np.: wieczorki taneczne, wyjazdy do teatru w Warszawie, grzybobranie.

Odchodziłam z Instytutu w 1992 r. z dużym żalem. Jak po stracie kogoś bliskiego, bo to był naprawdę mój drugi dom.

TERESA OTTO